



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Autorka Malwiny.—Małżeństwo.—Rozwód.—Zamieszkanie w Puławach.—Fr. D. Książnin.—Pobyt w Wiedniu.—Zgon w Paryżu.—Drugie dzieło księżnej Maryi Wirtemberskiej po Malwinie, *Pielgrzym w Dobromiłu*.—Sądy krytyków o Malwinie.—Jan Śniadecki.—J. I. Kraszewski.—Michał Grabowski.—Lucyan Siemieński.—Ostatnie lata księstwa warszawskiego.—Ludzie tego czasu.—Wpływ przeważny niewiast.—Małżeństwa.—Marnotrawcy i ich szkoła.—August Płaza.—Hedwiga z Porzecca.—Zaręczyny.

Należy nam zapoznać czytelników z dostojną autorką *Malwiny*: była to *Maryja Anna Czartoryska*, córka księcia Adama Kazimierza na Żukowie i Klewaniu, generała ziem Podolskich, Feldmarszałka wojsk austriackich i Izabelli z Flemingów podskarbianki. Urodziła się dnia 15 Marca 1768 r. Z rodzeństwa swego była najstarszą.

Wychowana starannie, zaledwie wyszła z lat dziecinnych, w szesnastym roku życia, oddała rękę księciu Ludwikowi Wirtemberskiemu. Małżeństwo to, nastąpiło jedynie w widokach politycznych, a ofiarą ich stała się młoda i piękna Maryja. Związek małżeński zawarty został dnia 28 października 1784 r.

Maryja nie znalazła w zawartym związku szczęścia. Mąż, po krótkim pobycie w Puławach i towarzyszeniu uroczystościom jakie w nich z powodu

tych godów weselnych obchodzono, wywiózł ją do rodziców, ażeby im przedstawić tak piękną i wykształconą synową. Mieszkali w ówczas w mieście francuzkiem *Montbeillard*, ale należącym do rzeszy Niemieckiej; następnie wyjechała do Pomeranii, gdzie w starym zamku książąt Wirtemberskich przemieszkiwała. Fryderyk Wielki, gdy się ukazała na jego dworze, zachwycony został wdziękami księżnej Maryi, nazywał ją *aniołem*, a jako swej *kuzynce*, w czasie jej bawienia w Berlinie przeznaczył na jej usługi *Damę honorową* i *Szambelana*¹⁾.

O pobycie swem w stolicy Prus sama księżna Maryja w sędziwych latach wspominała z goryczą, a ta družyna urzędników dworskich była dla niej najprzykrejszą. Wstąpienie w niej obudzały ich *figury*, usłużność *Damy* i *Szambelana*, ich nadskakiwania i sztywność niemiecka, gdy tak dobrze pamiętała otoczenie swoje w Puławach, owe towarzyski swych lat młodych, osiawiałych dworzan zarówno jak i młodszych, których poczeiwe oblicza uśmiechały się radośnie, a z oczu każdego przeglądała miłość i poszanowanie dla najstarszej, a tak ukochniej przez wszystkich, księżniczki.

O jej pobycie w rodzinnym gnieździe męża, pisze Lucyan Siemieński: „Jeżeli dziś Pomerania liczy się do bardzo smutnych krajów, to cóż musiało być w upłynionym wieku, kiedy ciemnota i nieokrzesanie jej mieszkańców, odpowiadały zupełnie dzikiej i jałowej ziemi? Nic naturalniejszego, że się znalazła tam zupełnie obcą, prawie wygnanką, jednakże wielka dusza, umiała sobie złagodzić to położenie,

dzieląc nudne i długie chwile, między modlitwę a naukę.

Wykształciwszy swój umysł na literaturze francuzkiej, postanowiła pisać w języku autorów, których uważała za swoich mistrzów, i wtedy to miały wypłynąć z jej pióra wiersze pełne wdzięku, jednakże świat ich nigdy nie znał; jeżeli je zachowała, to tylko jako prywatną pamiątkę, wspomnienie chwili¹⁾.

Kiedy rozdzieliła się z mężem, liczyła rok dwudziesty czwarty życia i była w najpiękniejszej porze rozkwitu wdzięków i powabu niewieściego; niedziw że gdzie się tylko ukazała była celem podziwu, zachwytu i hołdów. Stała się osiadła w Puławach przy rodzicach.

Wtedy na ich dworze bawił *Franciszek Dionizy Książnin*, jeden z wierszopisarzy zeszłego wieku, który miał namaszczenie na prawdziwego poeę; wiele też w jego utworach pozostało rzetelnych klejnotów poezji polskiej.

Książnin widząc w księżnej Maryi tyle piękności i powabu, tyle wdzięku i prostoty, tak wysokie ukształcenie obok dobroci i łagodności, nie mógł patrzeć obojętny, jako poufały towarzysz wszystkich zebrań i zabaw rodziny książąt Czartoryskich. Miłość zbyt śmiała zapaliła tkliwe jego serce. To uczucie gwałtowne, nie mogąc pozyskać wzajemności, przygnebiło jego duszę, oddało umysł tęsknocie. Znał Książnin swoje szaleństwo, ale mu się oprzeć nie zdołał i w jednej z pieśni wiernie stan swój smutny maluje.

„Czegoż te piękne oczy nie mogą?

Czego na twarzy te róże?

Nieznana błądząc za nimi droga,

W ostre skałami bezdroże.

¹⁾ Razem z księżną Maryją była w stolicy Prus i jej matka, do niej odezwał się raz Fryderyk Wielki. — „*Qu'est-ce qui vous a porté à donner votre ange de fille à mon cousin?*“ Odezwanie się to było niewytłumaczone dla księżnej Izabelli, tem bardziej że związek jej córki z księciem Wirtemberskim nastąpił w skutek usilnego nalegania króla pruskiego. „Jak widać (dobrze mówi L. Siemieński) dyplomaacya nigdy nie jest w kłopotcie o zrzućcie z siebie pozorów winy, a Fryderyk W. w umiejętności tej nie był przecież poślednim mistrzem.

¹⁾ Kilka rysów z literatury i społeczeństwa. Warszawa 1859 Tom I.

Jakże ty gonisz skrzydlacu hardy!
I dziką ścieżką i wążką,
Jak srodze ćwiczysz ofiarę wzgardy
Cierniową różę gałązką!

Pomroka umysł, rana mdłe serce,
Tęskność mi duszę zajęła,
I sama tkliwość w tej poniewierce.
Bolejąc tylko płonęła....

Pomroka ta, coraz więcej ciężyla na jego umyśle: poezya już nie była pociechą, ale większem rozmarzaniem wyobraźni i uczuć serca.

Gdy w r. 1829 zwiedzał Puławę, opowiadał mi starzy dworzanie książąt Czartoryskich, że często go widywali, jak po ogromnym tamecznym ogrodzie przechadzał się, a najrzadziej i najdłużej w tych miejscach przebywał, gdzie rodzina książęca miała ulubione ustronia.

Nizkiego wzrostu, twarzy pociągłej, bladej i znaczącej, oczy miał ciemne, pełne wyrazu. Bujne włosy z czola przyszyty, od środka głowy spadały mu w gęstych splotach na ramiona. Zawsze chodził po polsku, w kontuszu i żupanie, albo w ostatnim tylko na dni powszednie. W pierwszych latach nadzwyczaj staranny w ubiorze, później się zaniedbał, tylko wasy bujne wielce cenil i jednakowe miał o nich staranie.

Miłość ku księżnie Maryi, łączyła się z jej ubóstwieniem, czecił ją jak świętą! Występuje ona w poematach Książnina: *Rozmaryni* i *Balon* pod imieniem *Amarylli*. Biedny poeta, starał się utaić uczucia swego serca, ale zdradzał się często oczyma, westchnieniem, tęsknotą, jak ożywieniem nagłem i niezwykłym, gdy się zbliżył do niej i jej spojrzenie nań padło. Znosił męczarnie nieopisane.

Czy księżna Marya wiedziała o tej gwałtownej miłości, cenionego wysoko z talentu na dworze Puławskim Książnina, to nie wiadomo, ale trudno przypuścić, aby jej nie dostrzegła, samą *domyslnością* serca, która w romansie *Malwina*, tak ważną odegrywa rolę.

Wróciwszy do domowego ogniska i rodzinnego gniazda, po wielu troskach i cierpieniach, odetchnęła całą pierś swobodnie w Puławach.

O tych chwilach pisze L. Siemiński:

„Kiedy opatrność dotknęła ją srogim losem, zapewne w tym widoku, aby duszę swoją oderwaną całkiem od ziemi, skierowała ku niebu—natenczas małżonka i matka nieszczęśliwa przyszła pod dach rodzicielski szukać przytulku i pociechy. Odtąd żyła tylko obowiązkami dziecięcia względem swoich rodziców i temi, które Bóg wkłada na bogatych względem ubóstwa. Spełniała je też z gorącością chrześcijańskiej miłości.

„Nie było nie bardziej rozrzewniającego, jak słyszeć ją, kiedy pod koniec życia mówiła o swojej matce: myślałbyś że się dopiero wczoraj rozstały, głos drżący, oczy łez pełne, towarzyszyły każdemu słowu. „Jakżeż to słodko, mawiała, Bóg i rodzice moi, to mi wystarczyło w życiu, aby zapewnić wszystkie tajniki serca mego.“—Serce tak zapełnione, musiało być niewyczerpanym skarbem“.

Kiedy jej matka założyła w Puławach instytut wychowania ubogich córek szlacheckich, księżna Marya założyła szkołę dla dziewcząt wiejskich, gdzie się takowe kształciły na poczciwe i umiejętne gospodynie; obok tego była szkoła i dla pacholąt, z której wyszło bardzo wielu parobków i rolników doświadczonych. Były to pierwsze w naszym kraju tego rodzaju zakłady, dla oświaty ludowej otwarte.

Dla wszystkich tych szkółek, widząc brak elementarnych książek, ułożyła popularne dziełko: *Pielgrzym w Dobromiłu*.

„Są to rysy z dziejów (mówi L. Siemiński) wplecione w opowiadania z żywota wieśniaczego. Nieporównana prostota stylu połączone z wielką moralnością praktyczną, wyrobiła niezmierną wziętość tej książeczki; od roku bowiem 1817, kiedy się ukazała po raz pierwszy, do dziś, niewiem już wiele zostało edycji. I w tej pracy, przy księżnie Maryi zostaje pierwszeństwo pomysłu, forma przyjęta przez nią, okazawszy się nadzwyczaj ułatwiającą naukę, znalazła później częste zastosowanie“.

Po śmierci swej matki osiadła w Wiedniu, gdzie

długi czas pomieszkiwała; na lat kilka przed zgonem wyjechała do brata bawiącego w Paryżu i tu, licząc lat 84 wieku, dnia 21 października 1854 roku zakończyła życie. W sędziwych latach, zachowywała umysł czerstwy, wesoły i żywość młodocianą; każda rozmowa ożywiała szczególnym wdziękiem, a nieraz prawdziwym dowcipem, dopóki nie przeszła w zgrzybiałość.

Kto znał starców dziewiąty krzyżek wieku dzwigających, nieraz miał sposobność patrzeć na tę łaskę Bożą, że wtedy pomimo cielesnego zdrowia, umysł powoli słabnie, a sędziwi ojcowie, jak poważne matrony zaczynają dzieciennie. Z rzecznym uczuciem poglądamy na tych pielgrzymów, co po długiej wędrówce światowej, wracają do pojęć i życzeń tylko takich, jakie ich ożywiały, gdy z powijaków i kołtyki wydobyli, niepewnymi stopkami zaczęli drogę życia. Wspomnienia przeszłości w nich gąsna—namiętności wszelkie eichną.—pozostają tylko pragnienia dziecinne. O śmierci nie myślą—troski nie znają i z uśmiechem niewinnego dziecięcia zasypiają snem wiecznym.

Taki stan duchowy dał dobry Bóg w ostatnich latach księżnie Maryi, jakby nagrodę za życie bez skazy, a pełne zasługi jako chrześcijanki i obywatelki.

Znakomity nasz myśliciel *Jan Śniadecki*, poświęciwszy swe pióro rozbirowi *Malwiny*, zaleca ją pod wielką względami. J. I. Kraszewski w tym romansie uznaje dokonanie z niepospolitą trafnością postrzeżeń obyczajowych. Niektórzy krytycy zarzucali naszej autorce, jako grzech nie przebaczonej, wprowadzenie *Turnieju* do *Malwiny*, który tak malowniczo opisała. Nieogledny to zarzut, bo właśnie księżna Marya liczyła rok piętnasty życia i była obecną podobnemu turniejowi, gdy król Stanisław August, na pamiątkę oswobodzenia Wiednia (r. 1683) wskrzesił to stare wieków rycerskich igrzysko, przy odsłonięciu konnego posagu króla Jana III na moście w Łazienkach królewskich. Wspomnienie wspinałej uroczystości niedziw, że żywo w młodej pamięci i głęboko się wryło: to było też powodem, że *turniej* znalazł się na kartach *Malwiny*.

Estetycy nasi *Michał Grabowski* i *Lucyan Siemiński*, upatrują w powieści księżnej Maryi, iż sama się odmalowała w postaci *Malwiny*. Siemiński przywołując ustęp z pobytu bohaterki w starym *Głazowie*, kończący się opisem, jak się zajmowała dolą biednych włóścian z okolicy tego zamku, dodaje:

„Po tym ostatnim rysie, będącym niejako programem całego jej życia, któżby nie poznał portretu księżnej Maryi?“

IV.

Bitwa pod Waterloo, skończyła zawód Napoleona I-go

Młodzież która rzuciła się pod sztandary Napoleona I, zarażona była filozofią Woltera, rozpowszechnianą tak przez samego Stanisława Augusta, jak jego szambelanów i wszystkich dworzan. W życiu obozowem, w którym panował tylko *honor* wojskowy i wierność dla chorągwi, nie miała żadnego bodźca, ażeby odżywić w sobie mogła religijnego ducha swoich ojców, bo i z tych wielu zachwianych było w starej wierze. Wyszli tylko ze staropolskich domów, pod czułym okiem matek wychowani, i z licznych zaścianków szlacheckich, niezapomnieli pacierza i ucieczki do modlitwy, czy to w gorącym boju, czy gdy padali na polu bitwy ranami okryci.

Hiszpania, gdzie przeważna część armii księstwa warszawskiego walczyła, nawróciła wielu niedowiarków, gdy tylko pobożniejsi, uszli cało z pod sztyletu lub truceiny, w gościnnych napozór domach tej krainy. Z początku Hiszpanie uważali Polaków za ludożerców, później gdy się przekonali że są dobrymi katolikami, otaczali ich czecią swoją i przyjaźnią, a powabne Hiszpanki chętnie im oddawały swe serca wraz z ręką i wiernymi były towarzyszkami swych mężów.

Oi którzy powrócili z dalekich wypraw tak z Zachodu jak z San-Domingo, z pontonów angielskich, złamani trudami, serdecznie zapragnęli rodzinnego ogniska, którego nieznali od lat tyłu. Wojaczka dając im doświadczenie, nauczyła rozumu, a gdy żaden po długiej służbie nie mógł na nie liczyć, bo

emerytury nieznano, musiał rachować jedynie na własną pracę, aby w sędziwych latach znaleźć swobodny spoczynek.

Byli to wszystko ludzie zaci, szlachetni, z wysokim poczuciem honoru, to też w kraju wszędzie znajdowali otwarte gościnie dla siebie podwoje, i żadne progi, nie były za wysokie na ich nogi.

Kiedy taki długoletni tułacz obozowy, znalazł przytułek braterski we dworze ziemianina, i potrafił pozyskać serce córki gospodarza swego, albo krewniaczki, cała rodzina, przez uczucie najszlachetniejsze przychodziła mu w pomoc, ale w taki sposób, ażeby to nie obrażało godności jego osobistej. Dary nadsyłane, czy to w gotowiznie, czy w sprzętach, albo gospodarskim inwentarzu, szły z takimi prośbami i naleganiem, że odmówienie ich przyjęcia, byłoby ciężką obrazą dla ofiarodawcy.

Po zaręczynach już się uważał za członka rodziny przyszyłej swej małżonki, a często biedak własnej nie miał, bo gdy daleko się odbił od gniazda, wszystko co ukochał już wymarło. Sieroctwo to, w oczach wszystkich podnosiło go wyżej, i aby miał przychyłność panny, ani wiedział, jak znalazł dworek wygodny i ciepły, gospodarstwo małe, ale dostatnie, a wystrojony do ślubu z bukietem u fraka stawał na stopniach ołtarza, ażeby zaprzysiądz wiarę młodej a dorodnej małżonce swojej.

Kiedy po sutych godach zasiadł przy domowym ognisku, i spojrzął na powabną towarzyszkę życia, całą wdzięczność szlachetnego serca, czystą miłość ze cześcią rzetelną ku niej zwracał.—Gdy Bóg jeszcze dał mu tej rozkoszy zakosztować że dziecina zakwiliła w kołysce, w zachwycie radości, łzami mu tylko za tyle szczęścia dziękował, a żonę swoją ubóstwieniem otaczał.

Teraz zmęczony, lub cierpieniem złamany znajdował ją zawsze przy boku swoim, jako anioła stróża i pocieszyciela, który mu pomoc i zbawienie przynosi: pod jej skrzydłem opiekuńczym przypominał sobie z lat dziecinnych pacierz i modlitwy, które z ukochaną matką odmawiał, a kiedy ujrzał ją modlącą się ze skrucą i namaszczeniem, składał i on ręce, patrząc na małżonkę, jak na świętą swoją patronkę.

Pierwsze lata naszego stulecia od 1800 do 1807 roku dawały szczególne zjawisko godne przechowania w pamięci. Zbytek i marnotrawstwo, uwiecznione malowniczą satyrą Krasickiego, stały się panującą zarazą w pośród najzamożniejszych rodzin.

Zamki warowne, jakie ocalały z przeszłego wieku, wspaniałe pałace, ozdobne dwory wiejskie stały pustkami, gdy z nich prawie z torbą i o kiju wychodzili dawni właściciele, gdy po wysuszeniu najprzód skarbów pradziadowskich, i obciążeniu długami dóbr ziemskich, wypędzeni zostali z gniazd rodzinnych, po kilkowiekowym ich dzierżeniu.

Deską ocalenia dla wielu młodych marnotrawców były chorągwie Napoleona I, zrujnowani przywdziali mundur, szli na wyprawę, i znajdowali albo śmierć na polu bitwy, albo zaszczytne oznaki mężstwa i szlify oficerskie. Rozmiękli, zniedołężnieni rozpustą i zbytkiem, w obozie znajdowali nowy dla siebie żywioł, który ich pokrzepiał, uszlachetniał i znał do chwalebnych czynów. W kronikach domowych wielu rodzin znajdujemy wiele zajmujących zdarzeń, które przeobrażenie mnóstwo takich jednostek wydatnie pokazują.

Pan August Plaza ze starego rodu, liczącego się do wielce zamożnych, przed samym zgonem swego ojca, zaręczył się z panną *Hedwigą z Porzecca*, i dzień ślubu był już naznaczony. Ale żałoba przezwalała gody weselne, a młody August odziedziczył ogromną fortunę, wyjechał dla pociechy w smutku po stracie rodzica do Paryża.

Żywy, przystojny, a niedoświadczony bogacz, w stolicy Francji przepuścił najprzód ojcowską gotowiznę, a następnie zaciągał długi na obszerne dobra. Czas żałoby już dawno przeszedł, ale narzeczony nie wracał: rodzice Hedwigi pragnęli związek zamierzony z marnotrawcą takim i zbytnikiem zerwać, ale ta stale odpowiadała, że dopóki sam ślubnej obrączki jej nie zwróci, uważa się za związaną słowem.

Ojciec uprosił krewniaków swoich będących w wojsku, aby zmusili Plazę do zwrotu pierścienia, lecz ten przyjął obudwóch wyzwanie, strzelał się z jednym, z drugim bił na pałasze, a zraniwszy każdego, obrączki nie zwrócił. — Czy to była tylko

pańska fantazyja Augusta, czy też szczerze ukochał narzeczoną, dowiedziawszy się o jej postanowieniu, tem więcej ukazał oporu. Po trzech latach pobytu w Paryżu, wraca do kraju, ale na to tylko, ażeby zobaczyć sprzedane dobra swoje z dworem wspaniałym, gdzie się urodził i wychował i pozostał bez kawałka chleba. Plenipotent większą część majątności Płazy zakupił, a zamieszkałszy w jego odwiecznym gnieździe, w nim się rozsiadywał dumnie a wygodnie. Z rozpaczą w sereu, ze łzami w oczach, zawrócił od własnych granic, nieśmiając zajrzeć do narzeczonej w Porzeczu.

Właśnie w tej porze weszli Francuzi, i gdy rękę samobójczą już na siebie podnosił, błysła mu myśl nowa—szczęśliwa: sprzedaje drobne resztki, jakie miał z kosztowności przy sobie, przybywa do Warszawy i zaciąga się jako prosty żołnierz do pułku jazdy. Wtedy napisał list pełen uczucia rzewnego do swej narzeczonej, otwarcie przyznając się do własnych grzechów, błagając, aby była jeszcze cierpliwa, gdyż ją tem więcej jeszcze ubóstwia — że pierścionka nie zwróci, chyba na własnoręczny jej rozkaz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SONET.

Wiosna—ach! wiosna—nakoniec przybyła,
Ciepłym wietrzykiem niby piersią dysze,
Pocałunkowi przysły kwiat kolysze.
Jednym uśmiechem naturę zbudziła.

Poblądle słońce jej świeżość olśniła:
Dla niej po niebie szersze koła pisze,
I co dnia zda się wzrastać w krasy pysze,
Blask, dźwięki, barwy—miłość je stworzyła.

Bo czas i słońce wiecznie są młodemi,
Więc im nie zbraknie światła, ani ciepła,
Co roku wiosna wróci smutnej ziemi.

Tylko pierś ludzka, kiedy raz już, skrzepła,
Ni promień z nieba, ani uśmiech ziemi,
Nie wróci życia i nie wróci ciepła.

On-ka.

HISTORYA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Nikita nie tail z ezem przybył.

Stary patrzył nań z wielką uwagą. Zdawał się badać rzucanemi słowy, z jakim człowiekiem miał do czynienia i czy z nim mówić było bezpiecznie. Z mowy widać było, iż ludzi się obawiał i świata znał dosyć, aby nie dowierzać nikomu.

Ażeby coś ze starego wyciągnąć, jał opisywać Nikita wrażenie, jakie na nim zamek i okolica czyniła.

— Jeżeli tu jasnie pani przyjadą — odezwał się Żyd — a będzie czego potrzeba, posłajcie do nas; co będzie można, dostarczymy.

— A z kąd-że weźmiecie?

Żyd minę zrobił dziwną.

— Albo to i do Kamiénca dojechać nie można, choć tam Turki siedzą. My zwyczajnie nadgrani-

ezni ludzie, od Paszy mamy glejty, i z Tatarami się znać musimy...

— Toć i pan Dorszak toż? — rzekł Nikita.

Stary mocno trząsąc głową począł, ale słowo jakby mimowolnie się z niego dobyło.

— Wun! — zawołał. — On z nim fajkę pali! on z nim kawę pije, on z nim je baraninę, on jemu najlepszy przyjacieli! I ręką w powietrzu znak zrobił osobliwy, a głowę przechylił.

— Za to pana Boga chwalić — odparł Nikita — bo nasza pani przynajmniej będzie bezpieczną.

Staruszek milczał bardzo długo zamysłony i nierychło rzekł.

— A pewnie! — Ale ramionami ruszył dziwnie.

Z godzinę tak może Nikita się powoli dobywał do zaufania starca, który w końcu usiadł przy nim. Pytał o Miecznika, zamożność jego, stosunki i znaczenie, a słuchając wzdychał. Nikita w najnaturalniejszy sposób odmalował mu swego pana w najpochlebniejszych barwach. Wysłuchawszy, stary mu na rękę położył dłoń i szepnął:

— Bądź asan ostrożny.

Nikita płacąc za to zaufanie, rzekł mu do ucha:

— Dosyć na niego popatrzeć, aby sobie samemu to powiedzieć.

— To jest niebezpieczny człowiek — dodał Żyd — ale tsyt... i sza...

Znowu szło ciężko, a Nikita opowiedział o panu i jego dobroci a wdzięczności dla tych, co mu poczciwie służą. Żyd słuchał. Spytał go potem ponownie, jak sobie miał poczynać.

Zamyslił się stary.

— Asan rozum masz — rzekł — nie nie trzeba się bać, a trzeba pilnować. Ja wam jedno powiem słowo. On tu już sobie sam panem być chce... jemu goście nie potrzebni. On może wszystko zrobić, aby się ich pozbyć, a jemu nie kosztuje nic cudze życie, bo sumienia u niego niema... On gorzej Tatar...

Wstrząsał się aż stary mówiąc i oglądał bojaźliwie.

— Ale my z sobą o tem nie gadali, a stary Abram nie wie.

I głowę zanurzył w ramiona.

— Każecie mi słomy posłać w kącie, ja tu prze-no-cuję — rzekł Nikita.

Pistolet, który za pasem miał zawsze z tyłu, pod ręką położywszy, otulony burką, w kącie izby późno zasnął Nikita. Długo sen go nie brał, ale znużenie przemogło. Że się między dwójkiem okien położył, świtanie go zbudziło. W karczmie też ruch się rozpoczynał. Wstał co prędzej, pomodlił się, wódki na ranny chłód nie odmówił, chlebem z czosnkiem zakąsił i na zamek szedł.

Słońce już było weszło gdy w bramie stanął. Naprzeciwno, w domu na wschodkach stał właśnie Dorszak i ludzi zwoławszy hałasował, dopytując o niego. Zobaczywszy idącego krzyknął zdaleka:

— A coście to na zamku nie nocowali?

— Albo ja to się z tego rachować obowiązany? — rzekł spokojnie Nikita.

— A juścić! jam tu podstarości.

— Ino nie nademną — odparł Nikita — z prośzeniem Jegomości, jam tu gość i mnie pod rozkazy wasze nie poddano.

— Więc ja mam was słuchać! — wrzasnął Dorszak.

— Ja też rozkazywać nie myślę — mówił, zbliżając się Nikita, a strachu nie znam i nie zleknię się nikogo.

Popatrzał nań z góry Podstarości i zmieknął nieco.

— Cóż, zły był nocleg na zamku? — zapytał.

— Weselej mi się zdało w karczmie — rzekł Nikita — i po wszystkim.

— Tożescie chcieli komnaty dla państwa oglądać — zwrócił Podstarości.

— I na tom gotów.

— A ja czekać na was nie mam czasu — podchwycił, brzękając pękiem kluczy, Dorszak — ja muszę jechać.

— Aby klucze.. ja sobie obejrzę sam, co potrzeba.

Słyszając to podstarości, z gniewem pęk kluczy na rzemieniu cisnął z ganku pod nogi stojącemu Nikicie, który zrazu skłoniwszy się, stał z czapką na głowie i rękami w kieszeniach.

Parobek i chłopak na uboczu przypatrywali się tej scenie z widocznym podziwieniem, jakby pojąć nie mogąc śmiałka, który się ich panu sprzeciwiał.

W tem Dorszak o konia zawołał i oba rzucili się mu go podawać. Nikita też ustąpił nieco, ale nie śpieszył na drugie podwórze, aby zobaczyć, co to będzie za koń i jazda. Wnet też przywiódł parobek deresza z długą grzywą i ogonem, konia widocznie z turków rodem i z turecka osiodlanego. Charty wnet zbiegły i stały przy nim, szedł też zwolna Dorszak, poklepał konia po szyi, na siodło skooczył i słowa już nie mówiąc, pojechał ku bramie. Tu stanął i zawrócił się.

— Słysz, ty! — odezwał się, ręką wskazując Nikite — a kiedyż te wasze goście tu być mogą?

— Nie wiem, to w liście stać musi, mnie nie mówiono.

— A jak ci się zda?

Nikita ruszył ramionami.

— Nie wiem nic — powtórzył.

— Jakaż droga jaka?

— Tego mi nie mówili!

— Stoś... zjadł... a cóż wiesz! — krzyknął Dorszak.

Nikita spokojny zawsze, ziewnął, ręką się zasłaniając (grał umyślnie nieświadomego) i rzekł powoli:

— Ono to wiem, że mam mieszkanie i stajnie i co się patrzy gotować.

Dorszak spojrział nań, konia zaciął gniewny i ruszył klusem.

Parobek i chłopak słuchający rozmowy, uszom swym nie wierzyli, a ze strachu pod okap daszku stajennego powciskali się.

Dopiero gdy już dosyć opodał był Podstarości i na moście zatętniało, co znaczyło, że zamek minął, parobek się zwolna wydobył z kryjówek.

Nikita klucze trzymając w rękę, nie śpiesząc okrążył wielkie domostwo, aby się dostać na drugie podwórze. Ciekawość i chęć posłużenia może śmiało mu Nikicie, poprowadziły za nim parobka, który obejrawszy się ostrożnie, powłócił w jego ślady.

Odechliwszy płot wchodził na drugi dziedziniec dworski, gdy parobek przy nim się znalazł.

Był to chłop niezadarny, zahukany znać za młodu, milejący, opalony na czerwono; włos na głowie krótko postrzyżony, czoło i twarz w fałdach cała, broda na cal odrosła, oczy małe, nos spłaszczony, wyraz wszystek zwierzęcy, ale pokorny, chytry razem i zobojętniały. Gruba koszula i spodnie go okrywały. Pas zielony je trzymał. Na nogach miał skórnie rzemykiem ściągnięte. Z pod płótna widać było pierś spaloną jak twarz, włosom porośłą jak u zwierzęcia, zapadłą i pogarbioną dziwnie. Oczy małe bojaźliwymi ścisnął przybysza i zdawał się chcieć do niego przemówić.

— Jak wam imię? — spytał Nikita.

— Namysłął się parobek z odpowiedzią i do głowy poszedł ręką w przód, nim się zdobył na nią.

— Hm! Parfen.

— Chcecie mi pomóc do zamku, dam na wódkę!

Chłop głową kiwnął na znak zgody i poszedł za nim. Pomoc w istocie była potrzebna, bo gdy do pierwszych drzwi przyszedł i otwierać je, dobrawszy klucz, począł Nikita, zamka zardzewiałego zmózd o własnej sile nie mógł. Klucz był ogromny, a żelaza zakłose i przyrosłe do zamka. Nie rychło siląc się i kręcąc, potrafil wreszcie nim rygle podźwignąć. Drzwi były otwarte już, a dwójga ramion nie nadto znowu, aby je popchnąć.

— Nikt tu znać nie chodził? — zapytał Nikita.

— Po co? — odparł Parfen — tu dyabli nocą wyprawują wesele.

Gdy się stare dębowe drzwi rozwarły, można było w istocie sądzić, iż tam we wnętrzu nie czysta poruszyła się siła. Nietoperze i sowy mieszkające od dawna w sieniach, zatrzepotały skrzydłami; parobek odskoczył zegnając się. Strzymał się i Nikita, ale do nóg mu potoczył się nietoperz i poznał przyczynę tego ruchu, a śmiejąc się, wszedł do środka. Rozglądawszy się bacznie parobek, nie śmiało za nim kroczył.

Sień była kamieniem wyłożona, w lewo z niej izba duża sklepiona z kominem ogromnym, pusta... złamanej ławy kawał leżał w kącie. Kraciaste dwa okna oświecały ją słabo. Na prawo drzwi odmykać musieli. I tu mniejszą znaleźli sklepioną izbę, ale pełną łomu, który leżąc długo zbutwiał, porośnięty pyłem porósł grubo. Resztki kuł, żelazta, dzid, siekier, pomieszane były z rozsypaną klepką, połamanymi stoły i tarczanami.

Powietrzem wilgotnym i zatechłem ledwie odechnąć było można.

W głębi sieni wązkie wschody kamienne prowadziły na górę. Tu drzwi kute staranniej, lepszego się mieszkania kazały spodziewać. Gdy odemknęli, Nikita postrzegł znowu salę sklepioną, z kominem i piecem na wysokich nogach, z oknami w błonach, głęboko w mur wpuszczonemi. Podłoga była drewniana popruchniała. W pośrodku stół na nogach krzyżowych, kilka krzeseł skórą obitych. W sieniach pulki i szafki jeszcze się utrzymały i u drzwi kropielnica, a nad nią Chrystus na krzyżu. Po kilku wschodkach wchodziło się z tą do mniejszej izdebki, gdzie łóżko upadłe na ziemi stało i odarte. Kije od kotary malowane sterczały dziwnie się powychylawszy. Stoliczek, szafa pusta, zydeł... nie więcej. I znowu dwa wschodki w dół, izba wązka, cegłą wyłożona, pusta... W niej okna wiatr powybiał i powietrze przechodziło. Na prawo wązkie drzwiczki wiodły do małej kaplicy. Poznać ją było można po drewnianym ołtarzu nagim i dwóch prostych lichtarzach. Nad nim obraz z ram się wywiesił na poły. Po bokach szafeczki małe, kilka zbutwiałych ksiąg kościelnych. Z kapliczki wązkie drzwi wiodły w korytarz, w którym znowu wschody były niewygodne do drugiego piętra, opuszczonego, z powybijanemi oknami. Stał tu tylko kufer próżny, a w nim podarte papierów odwiecznych szmaty.

Nikita obszedłszy wszystko zadumał się. Byłe ściany a dach, wszędzie można znośnie znaleźć schronienie. Do wielkich wygod nikt naówczas nie rościł prawa, ale smutno było na starej wieży... wiało pustkowiem i śmiercią. Okna zabrukane, wązkie, mało przepuszczały światła, sklepienia niskie ciążyły nad głowami. Kamienne to było więzienie. Do dworów drewnianych przywykłemu zamku się wydawał strasznym. Nic nie mówiąc, drzwi tylko zostawiając otworem wszędzie, Nikita z parobkiem, towarzyszącym mu wiernie, spuścił się napowrót do sieni. Tu rozglądając się po ciemnych kątach, znalazł pod wschodami drzwi, ale do tych klucza nie było. Na próżno probowali wszystkich, żaden nie wchodził. Wzięli się więc oba silnemi ramionami i skoble wysadzili. O mało nie popadali, gdy się ruszyli drzwi, a pod niemi pokazały wschody w dół.

Nikita posłał parobka po światło, ale może rad był się go pozbyć, bo zaledwie odszedł, znalazł pod różnego kawał stoczka przy sobie, miał krzesiwo i knot nasiarkowany, zapalił więc łatwo i puścił się wilgotnemi stopniami w głąb. Lochy stały otworem, od kortyny tylko małemi okienkami gdzieś oświecone; potłuczone butelki i okrucy różne walały się po kątach. W jednym z nich mało znaczna kłapa dębowa, którą za ucho do góry podniósł, okrywała wschody znowu, lecz głębiej już się Nikicie iść nie chciało, zakrył otwór i obchodził inne lochy, gdy z góry głos parobka posłyszał. Parfen sam w tę głębinę iść się nie ważył. Wrócił do niego dworak i wydobyli się nareszcie na światło i powietrze dzienne.

Nikita pierwsze drzwi zaryglował, Parfenowi tylną dał, za co parobek mu się do nóg pokłonił i pociągnął, klucz schowawszy, do pierwszego dworu, gdzie wczoraj juki zostawił. Obszerna ta budowla zdawała mu się dla miecznikowej dogodniejszą, lecz wyraźny miał rozkaz, choćby niewygodne w starej wieży przygotować mieszkanie.

Ledwie się, dumając, do juk wziął swoich, gdy drzwi otwarto i młode czternastoletnie dziewczątko weszło, niosąc mu śniadanie. Bosonoga służka w szarej koszuli, z wyblakłym włosom w kosy splecionym i nad czołem obwinieciem; miała smętny uśmiezek na ustach. Widać w niej było stworzenie, którem się wszyscy posługiwali. Młodość nie doszedłszy do niej, uciekła. Cere miała zwiędłą, oczy zapadłe; wychudła ramiona, chude ręce a zapracowane dłonie. Niosąc miszkę, chleb i fiaskę, patrzyła w oczy nieznanemu, jakby wylekła i zdziwiona.

Postawiła śniadanie na małym stolczku, przysunęła ławkę, obejrzała się w koło, rączkami chwyciła za koniec fartuszka i odsunawszy się ku drzwiom, ze spuszczeniem oczyma czekała.

Nikicie się nie bardzo jeść chciało.

— E, co wy na mnie będziecie czekali — rzekł — ja powoli jem.

Dziewczę spojrzało bystro, zarumieniło się, jak te istoty się rumienia, którym krwi nawet na rumieniec nie staje, machnęło ręką, ale stało.

Nikita patrzył na to biedactwo.

— Jak tobie na imię?

Zasłoniła się aż fartuszkami i z za niego szepnęła: — Horpyna!

Raz otworzywszy usta ośmieliła się widać i ciągle mnąc w rękę koniec fartucha, poczęła cichutecznie: — Pani z wami chce mówić, ale... ale...

Nikita patrzył ciekawie.

— Jak Tatiana pójdzie na miasto... bo ona donosi... a niestety, żeby kto wiedział.

Odprawiwszy to poselstwo trudne, pomyślała chwilkę czy już wszystko i pędem skoczywszy do drzwi, wybiegła. Słychać było jej bosc nogi na wschodach.

Nikita się zamyslił, głową kręcił, tajemnica ta wydała mu się bardzo dziwną.

Około południa, nie mając co robić, poszedł w dziedziniec; potrzeba było stajnie dla koni obmyśleć. Nic tu do nich podobnego nie było, ale pod kortynami kawał dachu jako tako osłaniał połamane i pogryzione żłoby. Niektóre z nich na ziemi leżały. Z biedą można było konie pomieścić. Parfen się za nim włóczył i pokazał mu lepszą nieco stajenkę, ale w tej kilka koni Dorszaka stało, pokrywanych derkami i nie można się było spodziewać, ażeby chciały ustąpić. Wśród tych oględzin, Nikita spostrzegł otyłą kobietę, z twarzą nabrzęką, która z koszykiem szła ku bramie. Domyśliłby się był w niej Tatiany, choćby Parfen nie zawołał jej po imieniu. Musiał więc iść rozmówić się z panią, a zdało mu się, że najłatwiej będzie czekać w izbie na dole na ową małą Horpynkę. Zaledwie za sobą drzwi zamknął, zjawiła się ona w istocie, nie mówiąc nic i dając tylko znak ręką.

Nikita poszedł za nią na górę.

W tej samej izbie co wczoraj, na sofie, siedziała Dorszakowa, czekając widać na niego. Po dniu wydała mu się wychudłą i bladą. Czarne oczy świeciły jakby łzami obmyte. Zwróciła się zaraz do stojącego we drzwiach, palec kładąc na ustach.

— Człowiecze — zawołała — nie darmo cię panowie wysłali, rozum mieć musisz... miej-że go tu za dwóch, bo nie będzie i tego za wiele, bądź ostrożnym... Kraj to zły... ludzie nie dobrzy... obyczaje pogańskie. Kto tu pozna zbójcę? Kto tu wie, który poceziwy?

Po Bożemu przestrzegam... a nie mów nic nikomu. Wszystkich się strzedz trzeba, wszystkich. Nocą nie spać... dniem czuwać.

Ruszyła ramionami.

— Dnia ani godziny niema bezpiecznej, ja ci mówię.

— Bóg zapłać za dobre słowo — odpowiedział Nikita — my naród wojskowy, do wszystkiego nawykli... będziemy sobie rady dawali, a Bóg... od czegoż opieka jego?

— Tak, tak, ale strzeżonego pan Bóg strzeże — żywiej coraz poczęła mówić kobieta. — To nie u was tam w Polsce, gdzie wszyscy swoi, tu wszyscy cudzy. Góry pełne włóczęgów, szlaki zbójców pełne, domy zdrajców i szpiegów, a szarańcze wiatr przynosi.

Westchnęła.

— Jeszcze stokrotnie mówię „Bóg zapłać“ — odezwał się Nikita.

— Podstarości, mój mąż — dodała, oczy spuszczone — a no człek srogi... okrutny... popędliwy... Na swojego mówić — grzech, a nie przestrzedz — wina... co robić? Jątrzyć nie trzeba, a pokornym być też źle. Człowiek rozumny wie jak mówić i co czynić. Idźcie z Bogiem... dosyć... dosyć...

Zakryła sobie oczy rękami.

Nikicie zaś jej zrobiło.

— Niech Bóg stokrót płaci — powtórzył raz jeszcze — o mnie to tam nie wiele chodzi, ale o moją panią, za którą by człek życie dał, a jak będzie potrzeba, każdy z nas je da.

— Po cóż kobietom jechać tu było! Po co? — powtórzyła Dorszakowa.

Nikita ramionami ruszył.

— A toć to się nazywa ich majątek. Jejmość nasza bardzo skrzętna, chciało się choć zobaczyć to pustkowie. Nie powiem, żeby kraj był zakazany, boć jak u nas pięknie, a miejscami oczy razi. Co

potem, kiedy ludzie nie dobrzy i dzień cały wsi ni człeka nie urzęd.

— Za to jeszcze Bogu dziękować — dodała Dorszakowa — gorzej takiego spotkać, od którego życia i mienia prosić trzeba.

Niespokojnie obejrzała się do koła.

— Idźcie z Bogiem — rzekła — a milezcie. Palce położyła na ustach.

Nikita wyszedł. Nieopodal na czatach stojącą zobaczył Horpynkę, która doczekawszy się go, szybko wbiegła do pani.

Biednemu posłańcowi nie chciało się już do izby powracać, tak mu to wszystko co widział i słyszał po głowie chodziło. Czuł potrzebę sam z sobą się naradzić.

Z tej narady wyszło to, co prawie zawsze zdawało mu się, iż lękać się tak bardzo nie było czego. Nie zastał tu wprawdzie tak dobrze, jak pragnął i spodziewał się, ale źle też nad miarę nie było. Nawykły do wypraw wojskowych po gorszych jeszcze pustkowiach, do niebezpieczeństwa, które wesoło i ochoczo się zwyciężało, niemal był rad, że tu z założonemi rękoma siedzieć nie było można. — Dorszak zły, to prawda — mówił w duchu — a jeden zły człowiek może wiele, są za to dobrzy drudzy, a nawet własna jego żona. I człowiek przestrzeżony, co wiele znaczy. Łatwo się więc mieć na baczności, a przecież nie ja sam tu będę... dopilnujemy go i nic złego nie damy zrobić... Tak sobie męztwa dodając, poszedł Nikita do starego Żyda.

— A co — rzekł, przywitawszy się — podstarości znowu na polowanie się wybrał.

Abram ramionami ruszył.

— Na polowanie! — rzekł — ale na jaką zwierzynę on poluje, tego nikt nie wie, ani dokąd jeździ. Dosyć, że go nigdy w domu nie ma. Szczęście jeszcze, jeżeli na noc powróci. Gdzie bywa w gościnie i jakich tu czasem ludzi sprowadza, a jak im wszystkim z oczów patrzy... nu!

I zamilkł Żyd.

Nikita sobie powiedział, że musi na wszystko mieć oko.

Dzięki pani Miecznikowej w Mierzejewicach było jak mało w którym dworze dostatnio i z ładem, a nawet dla oczu miło.

Mało bo na świecie takich kobiet jak ona i nie darmo ją swą Handzią złotą pan Miecznik nazywał. Stworzona była do pracy wesołej, jak ptaszyna. Nigdy się jej lice nie zachmurzyło, nie wyszło z ust narzekanie, ani skarga na znużenie. Ubolewała tylko, że jej życie tak szybko upływało. Mąż rzadko w domu przesiadywał, był tu prawie gościem, ona stała za niego i za siebie.

Dzień był zużytkowany cały, żadnej chwili straconej. Inni też ludzie we dworze, widząc panią tak czynną i ochoczą do pracy, próżnować nie mogli. Ruszało się tam wszystko jak w mrowisku. Dwór był liczny, ale krom starego Deliana, rezydenta, który dla podeszłego wieku od pracy będąc wolny, jeszcze ryby łowił, lub w ogródku dozorował, każdy miał zajęcie i nikomu odpoczywać nie było wolno.

Miecznikowa choć córkę miała w latach szesnastu, sama wyglądała świeżo i młodo. Słusznego wzrostu, zbudowana silnie, krew z mlekiem, zęby jak perły, usta rumiane, oczy patrzące śmiało i prosto, a mówiące szczerze, uprzedzały na pierwszy rzut oka ujmująco. Ale przy tem wszystkim powaga była wielka i zmuszająca do poszanowania. Coś rycerskiego w sobie miała córka żołnierza, a mimo to wdzięk kobiecy i czułość niewieścia. Nie lubiła się stroić, a nigdy jej nikt nie widział opuszczonej od rana. Znajdowała to i mówiła otwarcie, że kobieta powinna starać się, aby pięknie wyglądała, ale nie jak papuga. Najczęściej też czarno bywała ubrana, ale świeżo i ze smakiem. Nie zlekła się ani konia, ani strzelby, bo ją ojciec nieboszczyk, syna nie mając, dla zabawy do wszystkiego przyuczył. Mówiono, że strzelała sławnie, lecz poszedłszy za mąż, już się tem nie bawiła.

Jadzi też swej nie uczyła strzelać, ale jej wlała swe męztwo i otwartość i ten charakter rycerski a umysł wesoły, który nie daje nigdy upaść na duchu.

Młode dziewczę podobne było do matki, tylko smuklejsze jeszcze i piękniejsze nad nią, bo rysy miała wypięszone, delikatne, więcej niewieściego uroku i blasku. We dworze paniąkę kochali tak wszyscy, żeby się za nią pozabijali dali. Dość jej było westchnąć za czem, choćby nie skinęła nawet, co żyło, siliło się spełnić jej życzenia.

Wdzięczny jej uśmiezek stał za nagrodę. Najstarszy ze wszystkich, blisko osiemdziesiąt-letni Delian, nie zapierał się tego, że był w niej rozmilowanym.

Cóż dopiero powiedzieć o młodym Janaszu, który się z nią prawie wychował i był jej najpilniejszym sługą, a jakby bratem? Prawda, że poczciwy Korczak, od dzieciństwa w tym domu, kochał tak samo Miecznikową i Miecznika i posłubiał wszystkie sprawy i uczucia ich obojgu, lecz dla Jadwisi życiaby nie żałował.

Małą dzieciną osieroconą, wynędzniałą, przywieszono go z rozkazania Miecznika do Mierzejewic. Byli mu ci Korczakowie dalekiemi powinowatemi. Ojciec Janaszka nigdy zamożny, całą majątność puścił w świat przez swawolę. Nie było sejmikowiczą straszniejszego nad niego, pił jak gąbka, rąbał się co dzień, twarz miał całą popisana szablami, z czego chluby szukał. Byle słowo, pluł w garść i brał się do karabeli. Wiosek dwie poszło na biesiady z dobrymi przyjaciółmi, z których ani jednego nie stało, gdy go objęli i opili. Matka ze zgryzoty zmarła; nareszcie starego Korczaka, lepszy od niego rębacz, dojechał po karku tak, że nie wymówiwszy „Jezus“, padł krwią obłany. Zostało dziecko sierota, którym się tak krewni opiekowali, że mu gęsi pasac dawano. Zmizerował się biedak i o mało nie zmarł, gdy go Miecznik przyciągnął. Przywieszono na furze do Mierzejewic tylko cień dziecka w podartej koszulinie; bosa to było, brudne i ledwie dyszące. Miecznikowstwo oboje litość mając nad nim, szczerze się wzięli, aby to oddechować. Jakoż wprędce dziecka poznać nie było można. Chłopak był rzadkiej piękności, a gdy na dostatniejszy chleb popadł, rosło to jak na drożdżach i wybujało na panieczka. W zarodku znać miał tę naturę szlachetną, a że wpadł między dobrych ludzi, stał się z niego chłopak, którym pochwalić się mogli Miecznikowstwo. Zrazu go w domu uczył przyjęty bakałarz, potem go dano do szkół do Lublina, gdzie chciwie naukę tykał, wreszcie przy Mieczniku się na żołnierza usposobił. Łatwo mu szło wszystko, bo umysł był bystry i Zboński mawiał:

— Niema to, jak gdy człek za młodu biedy zażyje, potem buja jeszcze raźniej i wszystko mu dobre i wszystko łatwe.

Była to prawa ręka we dworze, do wszystkiego, choć sercem najwięcej miłował rycerską sprawę i życie. Koń, szabla, rusznica, łuk, najmilszemi mu były zabawami. Ale z prawnikami o jursprudeneyi niczego umiał się rozprawić, z księdzem o rzeczach świętych, ze starami o przeszłych.

We dworze niemal jak własne dziecko go utrzymywano, ale Janasz dobrze pamiętał czem był i co był winien Miecznikowstwu, więc im mu więcej było wolno, tem mniej z tego korzystał, bo dziwnie był skromny i pokorny.

Dosyć powiedzieć, iż mając szesnastoletnią córkę w domu, Miecznikowstwo z powodu tego ślicznego chłopca dwudziestoletniego, najmniejszej troski nie mieli. Kochało się to po Bożemu, jak brat z siostrą, nie tając, nie kryjąc, ani pragnąc więcej nic nad to, żeby z sobą co dzień mówić, uśmiechnąć się sobie mogli i jedno drugiemu usłużyć. Często bardzo przy Janaszu rozprawiano o przyszłych losach dziewcziczki Mierzejewic, dla której się bodaj kogoś z senatorskiego domu spodziewać godziło. Janaszek tylko jednego pragnął i życzył: aby człek był jej godzien.

Jadzia żartowała z Korczaka, że się on kiedyś ożeni i naiwnie mu prorokowała posażną pannę i piękną wioskę. Prawda że tak zagadnięty Janasz czerwienił mocno i z zapalem wielkim zaręczał, że się nigdy nie ożeni, że rycersko chce służyć, a żołnierzowi żonatym być nie przystało, bo mu zawsze serca braknie, gdy rodzinę wspomni. Czasem aż do przysięgi się na to rwał, ale się z niego śmiało, a niedopuszczano na lekko się kłaść, bo w ówczas jurament w oczach Boga, tak wiązał człowieka iż go żadna siła w świecie z niego rozwiązać nie mogła...

Pomimo młodego wieku miał Korczak tyle doświadczenia, zimnej krwi i wytrwałości, iż mu Miecznik rodziny powierzyć się nie wahał. Dwór też cały był dobrany tak, że z nim ani Miecznikowa, ani on kłopotu mieć nie mogli. Złego się sam w Mierzejewicach nie uchowało długo.

Ks. Żudra Kupelan, niegdyś także towarzyszył z chorągwi hetmańskiej, choć ksiądz, mężny był i spokojnego ducha, a roztropności wielkiej. Często się go Miecznik radził i dla Janasza w drodze wielką mógł być pomocą, bo choć w krajach tamtych nie bywał, tyle z ludźmi różnemi przestawał, tyle się po świecie nasłuchiwał, iż więcej od drugih wiedział...

Sześciu ludzi czeladzi, dobrano co najteższych i pewnych, chłop w chłopca—Hajducy, Hołoba i Trakiewicz, głową przerastali wszystkich, a byli też na taką wyprawę jakby stworzeni.

Oba przeto w obozie wachali, a nie łatwo ich było czem ustraszyc. Najstarszy ze wszystkich Węgrzynek Giczy, choć pono z Węgrów pochodził, wychowany z dziecka na dworze, przyswoił się zupełnie, a był zwinny, żwawy, trochę łotrowaty, ale odważny jak stary i gotów się porwać na olbrzyma.

Choć Miecznikowa wcale się o tę podróż nie troszczyła, będąc pewną, że Turcy i Tatarowie co innego teraz mają do czynienia... sam stary, nie trwając się, ludziom pojedynczo zalecił jak największą ostrożność w podróży. — Konry, brat Nikity miał zawsze poprzedzać na kilka godzin dwór, a dano mu najlepszego konia, aby w razie niebezpieczeństwa jakiego, mógł zawrócić i w czas dopaść z oznajmieniem. Dwóch ludzi składało straż tylną, reszta się gromadziła około kolebki, wozu, na którym jechał ks. Żudra i drugiego z obrokami zapasnymi i kuchnią.

Jesień bardzo szczęśliwie trafiła się ciepła i pogodna. Nocy bywały chłodne, ale dni gorące prawie... Jadzia która niewiele podróżowała, dziwiła się i cieszyła wszystkim, miastom i kościołom, wsiom i lasom i górom zielonym i różnemu ubiorowi i rozmaitej mowie ludzi.

Pierwsze dni podróży szły bardzo pomyślnie, koń nie zakulał, koło się żadne nie popsulo, nie zgubiono nic, a mimo krzyżujących się dróg, nigdzie się nie zbłąkano. Miecznik na karcie wypisał cały szlak i niemal popasy, a noclegi tak rozumnie, iż się jego drogokazku trzymało, nie zmieniać nie potrzebując...

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOLONISTA W IRLANDYI

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Pawła Heise

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

JAMES HENNESSEY (*sam, mówi z goryczą*)

Więc to tak... Nasi pobratymcy za morzem przypominają sobie o nas. A dobrze się u nich bawicie mają... Wesoły ludek paryzki każe sobie przygrzewać na fanfarach i pozonach...

(po chwili milczenia)

A ty, który to mówisz, ty Jamesie Hennessey, czyś nie szedł także tam, gdzie gra muzyka i ludzie tańczą? A co to są za ludzie i jak też przyjełliby tam ciebie? Wiesz to zawczasu, wiesz... Gdy wejdziesz, wszyscy się będą plecami wykręcać i odsuwać z ławki od ciebie, jak gdybyś był zapowietrzony, będą ścigać do siebie szklanki swoje, abyś przypadkiem nie napił się z której... Dziewczeta będą szeptać sobie do ucha, a młodzi będą spoglądać na ciebie, jak gdybyś był już padł, zwierzem zdychającym... A ty szedłeś znosić to wszystko, nienawisć i pogardę, aby tylko odetchnąć tem sa-

mem powietrzem, którem oddycha istota, co serce w piersiach twoich na wosk zmięczyła. Dobrze, że ten przybysz cudzoziemski zaszedł mi drogę... Byłem w wesołym humorze, byłem łagodny i uciśniony sercem, i byłbym sobie na niejedno pozwolił. Byłbym siedząc w swoim kącie wypił nie jeden kieliszek i patrzył jak tańczą szwabskie dryblasy i ona z niemi... Byłbym słuchał muzyki i wrócił do domu z tą obcą nutą w uszach. Ale stary ból rozżarzył się na nowo jak węgiel pod popiołem i już tam pójść nie mogę... iskra mogłaby łatwo paść na słomę suchą. Nie mogę pójść... I lepiej że się tak stanie Jamesie Hennessey, lepiej to dla ciebie... Idź do domu i połóż się spać, tak bracie, zaśpij święto... (Gdy mówiąc to już się zwracał ku furcie, na progu gospody ukazuje się Hanna).

(HANNA *mówi zwracając się w tył za siebie*)

Tylko się przejdę raz matko, tylko odetchnę trochę pod drzewami. W gospodzie tak duszno, o tak duszno!... Tu od rzeki taki chłód przewiewa... (Idzie w głąb i pod drzewem spotyka nagle Jamesa) Ach....

JAMES (*z żalem*)

Czy i ty Hanno boisz się mnie i przestraszasz jak rozbójnika?

HANNA

Oh nie... wiesz Jamesie że nie... Ale dlaczegoś tu przyszedł, dlaczegoś się schował pod drzewa? Gdyby tak ojciec zobaczył!... O dlaczegoś przyszedł tutaj między ludzi, którzy... nie lubią cię....

JAMES (*smutnie*)

A ty Hanno, dlaczego bywasz pod dachem człowieka, którego twój ojciec nie cierpi, którego chciałby wygnać z tąd, wypędzić z gminy, w której sam żyje, gdyby tylko nadarzyła się sposobność do tego?

HANNA (*oglądając się z trwogą*)

Cicho!... (z łagodną tkliwością) Matka ci powiedziała zatem, choć tak prosiłam, tak prosiłam, abys nie wiedział.

JAMES

Gdym wracał z pola, kokosz zabiegła mi drogę i gdała dumnie. Twoja jałmużna Hanno, rozgłosnie się zapowiedziała biedakowi.

HANNA

Ach Dzemsie, nie mów tak... Chciałam zrobić twojej matce małą przyjemność....

JAMES (*z goryczą*)

Dając jej podarek z własności twego ojca?...

HANNA

Nie, nie... wychodowałam tę kokoszkę sama, od jajka prawie. Kurczątko było bielutkie i polubiłam je, matka mi je dała, była to zatem moja własność. Mogłam nią rozrządzać podług woli i nikt nie, wie, com z nią zrobiła.

JAMES

Ale ja wiem i matka moja nie może jej zatrzymać. Prosiłam jej o to i zapowiedziałem, aby odniosła ją, gdzie być powinna. Jutro rano, biała kura zagadze ci pod oknami....

HANNA (*smutno*)

Dzemsie....

JAMES

Ja ci Hanno nie chcę robić przykrości, i wiem żeś to zrobiła z dobrego serca dla biednej staruszki, ale nie mogę przyjmować twojej litości.

HANNA

Litości! ach! Dzemsie, to nie jest wcale litość... Choć powiem ci prawdę, że mi nieraz bardzo żal starej twojej matki... Żyje taka samotna w miejscu pustem... Nie ma przy sobie żadnej żywej istoty i....

JAMES (*śmiejąc się gorzko*)

I ma syna rozbójnika.... Wszak tak? Wodza rozbójników.

HANNA (*z żalonym wyrzutem*)

Dżemie.... (Nieśmiało) A czy to nie prawda?... Wszak nie prawda?....

JAMES (*zrazu poważnie, później zapalając się*)

Hanno, słuchaj! Niech sobie tamci (pokazuje ręką gospodę) myślą co chcą, niech mnie jak chcą nienawidzą.... To dobrze, bo i ja nie kocham. Ale ty musisz mnie znać, jak mnie zna matka rodzona, ty musisz wszystko o mnie wiedzieć, bo to w części wielkiej sprawa twoja, żem wilka, który jest we mnie, wziął na łańcuch i trzymam. Tak, to twoja sprawa, twoje dzieło, to ty gołąbko ze słodkimi niebieskimi oczyma, drapieżne to zwierze za sobą cicho wodzisz. Bo jabym całował błotnistą ziemię wśród waszych niemieckich opłotek, któremi ty chodzisz, jabym dla ciebie w wieczną noc skoczył, byle mi tam brzmiał twój łagodny, srebrny głos....

HANNA

Ach Boże! Dżemie.... oni tam z domu słyszyć mogą. Idź, o idź już, nie mów słów takich....

JAMES

Głupie słowa.... prawda... i ja głupiec, ale jestem głupiec szczęśliwy. Wierzę w rzecz jedną. Tak Hanno, wierzę.... Dla ciebie to nie nie znaczy, że nie mam tyle gruntu co parobek twego ojca. O ty, ty się tu już rodziłaś i masz w sobie irlandzkie serce. Tak! irlandzkie powietrze wciągałaś zawsze w pierś, irlandzkiej natury głosy mówiły do ciebie i stworzyło ci się serce irlandzie. Prawda? Nasze serce.... Dlatego zrobiłem się cierpliwym, rozsądnym... Gdy nastanie czas spokojniejszy, nasi będą może żyli z waszemi zgodniej... Wtedy przyjdę do twego ojca i powiem mu: — Jestem ucziwy człowiek i mogę być ojcem ucziwej rodziny.

HANNA (*smutnie*)

O Dżemie! Mój ojciec nie odpowie ci nigdy tak, jakbyś ty tego pragnał... nigdy... nigdy...

JAMES

A ty Hanna, ty, jakbyś pragnała, aby odpowiedział?

HANNA (*cicho bardzo*)

Dżemie!

JAMES (*z namiętną radością*)

Ach! Gdybym był nawet ciężki i zimny jak te niemieckie kłocę, które się koło ciebie ruszają, jeszczebym teraz drgnął i ożył. We mnie Hanno wstępuje taka fantazyja dzielną, jak w owych, co stąpali pierwsi po tej ziemi. Czy wiesz, co zrobił O'Neal, który był tu królem pierwszym? Gdy wojownicy płynący na okręcie, ujrzeni nagle zieloną wyspę, na falach morskich z mgły się wychylającą, wódz zawołał:—Panem jej będzie, kto pierwszy brzegu się chwycił i oto rycerz jeden— O'Neal— na mieczu się swoim mocno wsparł i z pokładu w wodę skoczył.... Skoczył.... nogą pechnął za siebie statek, aby się w tył cofnął, a sam w oka mgnieniu ziemi się chwycił i miecz swój w nią wbił.... On został i królem i ja podobnie królem zostanę.... Tak Hanno.... Ja cię pochwycę jak O'Neal i zdobędę.... zabiorę sobie, wezmę.

HANNA (*z rozżaleniem*)

O nie Dżemie, nie.... Nie dostaniesz mnie i nie zdobędziesz, nie dadzą ci wzięść mnie, nie pozwolą.... Nigdy twoją nie będę....

JAMES

Jesteś moją Hanno! moją perłą! różą! królową! Jesteś moją i będziesz nią, chyba że powiesz kiedyś: moje niebieskie oczy kłamały....

HANNA (*z trwożą*)

O Dżemie! muzyka tam ustala, oni tu przyjdą.... idą.... Odejdź, o proszę odejdź, niech cię nie widzą.

Czegóż jeszcze chcesz?... Dżemie.... ty już sam wszystko wiesz.... powiedziałeś.... Jestem twoja....

JAMES

I mam iść.... uciekać.... Hanno! serce mi pęknie z radości, nie mogę odejść.... Muszę śpiewać, pić, tańczyć!... z tobą tańczyć....

ADAM (*wychodząc z gospody*)

Hanno! (idzie w głąb na spotkanie Hanny, która żywo wychodzi z pod drzew ku niemu). Tu będziemy tańczyć, na placu.... Ale kto tam był z tobą? Kto tam jest?....

JAMES (*występując z poddrzew*)

Ja, James Hennessey, do usług waszych.... (Szyderczo) Biedaczysko James Hennessey z Carrick-o-Gunnel, który będzie miał zaszczyt zatańcować po irlandzku z miss Hanną Bodenmesser.

ADAM (*posepnie*)

Nie przyszedłem tu z nikim na rozmowy. (Zwraca się do Hanny, ale James zachodzi mu drogę).

JAMES (*szyderczo*)

Szkoda panie kolonisto, że nie umiesz grzecznie rozmawiać, powiedziałbym ci piękną bajkę o wieszczkach, które nocami po moczarach tańczą i rozdają dary różne grzeczniejszym niż pan kolonista kawalerom. Jam dostał dziś dar kosztowny od jednej wieszczki takiej, talizman przez który mogę śpiewać hop! hop! choć mi biada; mogę tańcować i tańcować będę zaraz właśnie. (Tymczasem cały tłum z gospody wyszedł na dziedziniec. Młodzież obsiada ławki pod drzewami, muzykanci zajmują miejsca w głębi. Bodenmesser odprowadza wójta do furtki i tam przystanąwszy rozmawiają, Elżbieta ukazuje się ostatnia, z gospodynią na progu przystając. Wszystkich oczy zwrócone są na Jamesa Hennessey, który z dumnie podniesioną głową podchodzi ku muzykantom i wita ich).

JAMES

Jak się macie stary Nellu, jak się masz Taddy Connor! Nagraliście się pięknej, wolniusieńkiej muzyki, przy której dobrze jest kulawym tańcować, a teraz wartoby coś uciąć na odmianę. (Zwraca się do otaczających) Niech to będzie bez urazy panów sąsiadów, że każe sobie zagrać po irlandzku, bo mi dziś wesoło na sercu i radbym tańcować. No Taddy Connor! wiesz jak to trzeba. Irlandzki Jig... Tak, aby człowiek poczuł przecież, że tańcuje, a nie za pogrzebem idzie. Proszę za fatygę. (Rzuca muzykantom pół korony i zwraca się z uśmiechem do Hanny, którą otoczyły tłumem dziewczęta).

ELŻBIETA (*której żywe coś opowiadał Adam*)

Ach dla Boga moje dziecko!... dla Boga!... ty masz taki taniec tańcować.... Ach dla Boga!....

JAMES (*z wysiłkiem grzeczności*)

Z przeproszeniem pani sąsiadko, nie będzie to nie strasznego. Piękny taniec.... zobaczycie. (do grajka) Dalej dudziarzu, dmuchaj, dalej skrzypisto.... (grajkowie zaczynają grać lekliwie, gdy w tem Jakub Bodenmesser wkracza w środek grupy).

BODENMESSER (*do grajków*)

Stójcie!... Co to jest? Czego chcesz od mojej córki Dżemie Hennessey? (W tej chwili Patryk i Czerwony Janek ukazują się u furtki).

JAMES (*z szyderczą dumą*)

Irlandzkiego Jiga, panie sąsiadzie.... Zwyczajnie jak w gospodzie, gdzie się tańcuje w święto....

CZERWONY JANEK (*z po za furtki*)

Dobrze Dżemie Hennessey, dobrze! Tańcuj z córką pana sąsiada, kiedy tam pacholki szeryfoskie z twoją ślepą matką tańczą. A wytańcowała się już do tchu ostatniego i w szernem polu odpoczywa, synka swego kochanego w niebogłoso wołając. Nie przeczytałeś Dżemie Hennessey świstka z pieczęcią, który ci sześć dni temu wójtownski pisarz

przyniósł i na stole w chacie położył, i możesz teraz siódmej nocy tańcować sobie do świtu, bo nie masz już gdzie na nocleg wracać.

JAMES (*gwałtownie*)

Łziesz łgarzu! Nie prawda!....

JANEK

Niech i tak będzie.... Meg Hennessey siedzi sobie przy ciepłym ogniu i kartofle dla synka piecze. Nie wypędzili jej, nie wynieśli jej gratów na wrzosowisko, nie zdjeli dachu z chaty.... Wszystko łgarstwo i nieprawda.... Na budach Carrick-o-Gunnel jeszcze dom twój stoi....

JAMES (*ściskając pięści*)

Ha! ha!

BODENMESSER

Dżemie Hennessey, nie jestem przyjacielem twoim i wcale się za takiego nie podaję, ale zrobili ci ludzie krzywdę i nie po ludzku obeszlę się z tobą. Matka twoja stara i nie mocna, trzeba jej zatem jakiej takiej wygody. Przyprawdź ją do nas, bo dom mój najbliższy jest bud starych; z dobrego serca to mówię....

JAMES (*wybuchając goryczą*)

A! dla stratanego łpsa nabrałeś dobrego serca panie kolonisto!... Pozwolicie starej Meg Hennessey sypiać w waszej oborze, a rano będzie wam ślepa niemieckie kozy na wrzosowisku pasać....

BODENMESSER

Złość cię unosi Dżemie Hennessey, a u was tak zawsze bywa. Żal u was to samo co złość, każdy to wie. Chciałem z tobą po chrześcijańsku poczynąć, a jest chrześcijańską powinnością bliźniemu w nieszcześciu pomagać. Starej waszej matce na niezembu u nas nie brakło, tobie zaś samemu podobno nie wielki kłopot o dach do noclegu....

JAMES (*namiętnie*)

Tak, bo z nas każdy jest jak szczenię wileze, które w parowach górskich ma legowisko. Ale Jakub Bodenmesser dziękuję wam za dach, którego chcieliście uczynić siwej głowie, lecz matka moja ma syna, który dla niej o tem myśleć powinien. Choć noce są zimne, a mgła już wisi nad wrzosowiskami, dowłoką ją nogi do jakiej wsi irlandzkiej, gdzie swoi ludzie odpowiedzą jej: Amen.... Skoro stanąwszy w progu rzeknie:—Niech Najświętsza Panna będzie pochwalona.... Wamby było znią nie na rękę, a jej ciężko, o ciężko żyć między wami.... Dziękuję zatem i żegnam. (Odwraca się zimno do Janka i Patryka, z którymi odchodzi, nie spojrzawszy na Hannę, patrzącą za nim żałośnie).

BODENMESSER (*do żony i córki*).

Zabierajcie się do domu.... Już pewno nikt nie ma ochoty do tańca.... Przeklęty kraj, gdzie ludzie nawet w niedzielę porządnie się zabawić nie mogą.... Przeklęty kraj....

PODRÓŻNY (*zatrzymuje Jamesa przy furtce*)

Mój przyjacielu.

JAMES (*z dziką żywością*)

Kto tu tak kłamie? Kto, przez pięć ran Chrystusowych, powiada mi, że jestem jego przyjacielem?...

PODRÓŻNY (*łagodząc głos*)

Bracie, jam przecież pobratymiec twój i pełen serdecznych sympatyj.... (Odchodzą razem, James zbliższy otoczony przez dwóch skotarzy i podróżnego).

Zasłona spada.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYŻSZE ZAKŁADY NAUKOWE

DLA KOBIET.

Zakład Dra Baranieckiego w Krakowie.

(Dokończenie).

Wykłady niestałe są bezwątpienia tą częścią Zakładu dra Baranieckiego, która jego życiu i rozwojowi najwięcej dodaje ruchu i w najszersze koła publiczności przenika; one także mogą się poszczycić jak wspominałem, wielu głośnie i zasłużonymi imionami.

Nadto w pierwszym roku istnienia Muzeum odbywały się odczyty w różnych przedmiotach, bliżej kobietom obchodząc mogących.

W szeregu tych odczytów na brak różnorodności uskarżać się nie było można: każda prawie gałąź umiejętności znalazła swego reprezentanta, i czas dla siebie poświęcony, a audytorium muzealne miało w czem wybierać według tego, jak je które przedmioty więcej albo mniej ku sobie nęciły i różnaitym skłonnościom naukowym odpowiadały. Same zaś nazwiska prelegentów, w znacznej przynajmniej części, mogą nawet temu, kto tych wykładów z osobistego słyszenia nie poznał, dać zupełną gwarancją, że można im się było przysłuchiwać i z korzyścią i z przyjemnością. Liczba odczytów stałych i niestałych w trzech dotąd istniejących wydziałach, nie licząc w to wykładów z bieżącego roku, dochodzi do znakomitej wcale cyfry, bo obejmuje bezmała 4,300 godzin. Prelegentów w tym czasie wykładających było w ogóle 52, pomiędzy którymi 19 profesorów i docentów uniwersytetu Jagiellońskiego i wielu pisarzy znanych zaszczytnie w naszej literaturze. Niektóre z tych odczytów, mianowicie z wykładów niestałych, były następnie drukowane w różnych pismach periodycznych.

W obu kategoriach odczytów zdarzają się wykłady, które wymagają pewnych aparatów, okazów i t. p. środków pomocniczych i uzmysławiających. W takim razie dostarcza ich albo Muzeum, jeżeli je posiada w swych zbiorach, albo też wypożyczane bywają z miejscowych zakładów naukowych: z uniwersytetu, z gimnazjów, z instytutu technicznego, ze szkoły sztuk pięknych i t. d. Niekiedy potrzebne przyrządy bywają umyślnie do wykładów sprawiane; w ten sposób naprzykład z powodu wykładów: „O języku i piśmie całego świata,“ powstał zbiór alfabetów znanych dotychczas u najrozmaitszych narodów, obejmujący przeszło 300 wielkich arkuszy. Zbiór ten, jedyny zapewne w swoim rodzaju, posłany był na wystawę powszechną do Wiednia, i tylko z powodu szczupłości wyznaczonego mu miejsca nie mógł być tamże na widok publiczny wystawiony. Wspomnieć także należy, że do wykładów chemii Muzeum posiada wyłącznie na ten cel urządzone laboratorjum, zaopatrzone we wszystkie odpowiednie przyrządy. Do nauki rysunków znajduje się również obfity zbiór wzorów i modeli gipsowych wszelkiego gatunku.

Lekcje w trzech wymienionych wydziałach są tak rozdzielone, że słuchaczki równocześnie, to jest w jednym kursie mogą nawet na wykłady wszystkich trzech wydziałów uczęszczać.

Dwa wydziały tego zakładu: handlowy i gospodarski, z przyczyn o których już wyżej wspominałem, chociaż objęte programem, dotychczas, czego nie ma należy żałować, nie mogły wejść w życie. Gdy zakład dra Baranieckiego, przy pomocy opieki i poparcia, jakie mu ministerstwo oświaty udzielić nie omieszka, będzie mógł w niedługim zapewne czasie także i pod względem materialnym na silniejszych stanąć nogach, i te dwa wydziały niezwłocznie zostaną otwarte.

Otóż wydział handlowy dla kobiet (bo dla mężczyzn już od kilku lat w Muzeum istnieje) ma obejmować: prowadzenie rachunków kupieckich wraz z nauką o miarach, wagach i monetach; pojedynczą i podwójną buchalterję z nauką o wekslach i papierach publicznych; nakoniec korespondencją handlową,

Wydział zaś gospodarski ma w swoim programie przepisane: szczegółową naukę o kobiecym gospodarstwie domowym i gospodarstwie wiejskim w ogólnych zarysach, a obok tego: sadownictwo i ogrodnictwo warzywne i kwiatowe. Pomimo nieistnienia tego wydziału, niektóre przedmioty do gospodarstwa należące, były jednakowoż już w Muzeum wykładane, mianowicie: o jedwabnictwie i pszczelnictwie; o prowadzeniu ksiąg gospodarczych; o owadach pożytecznych i szkodliwych w gospodarstwie domowym i rolnem; o technologii domowej i mechanicznej i t. d. Wszystkie te wykłady, z doraźnych powodów miane i powtarzające się, policzyć należy do kategorii wykładów niestałych.

Życzeniem również dra Baranieckiego było z wydziałem historyczno-literackim połączyć naukę języków, mianowicie: polskiego, niemieckiego, francuzkiego, angielskiego i włoskiego; zamiarowi temu stanęła jednak na zawadzie taż sama przeszkoda, dla której dwa ostatnie wydziały wejść w życie dotychczas nie mogły, to jest brak uczennic do tych przedmiotów.

Zakład muzealny posiada wreszcie niejaki już związek przyszej swojej biblioteki, z której dr. Baraniecki zamierza urządzić czytelnię wyłącznie dla kobiet przeznaczoną.

Taka jest organizacja tego zakładu i taki jego stan obecny. O ile mi moje wiadomości pozwalały, starałem się o jednym i o drugim dać czytelniczkom „Bluszczu“ jasne i dokładne wyobrażenie. Wykłady muzealne, choć w sposób popularny i przystępny, sięgają już pewnych wyżyn umiejętności i nauki, zapoznają z wielu przedmiotami, dla których szkoła w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie ma miejsca i czasu, i formą swoją podobne są zupełnie do uniwersyteckich prelekcji. Cała czynność słuchaczek polega w czasie lekcji na słuchaniu i, jeżeli której się podoba, na notowaniu tego co słyszy; w ciągu lekcji nigdy ani pytane ani egzaminowane nie bywają. Do woli każdej zostawione jest także, czy z końcem kursu chce albo nie przystąpić do egzaminu z przedmiotów, których w ciągu kursu słuchała. Takie egzamina kursowe już w dwu latach ostatnich odbywały się w Muzeum, i za każdym razem znalazła się dosyć znaczna liczba słuchaczek, które im się poddawały, a niektóre chlubnie z nich wychodziły. Patent na podstawie takiego egzaminu uzyskany, niema dotychczas, ponieważ zakład jeszcze w całkowitości charakteru publicznego nie otrzymał, urzędowego znaczenia, i nie przynosi realnej korzyści; w każdym jednak razie służyć może za dowód pewnych studiów i wykształcenia, a szczególnie może dawać taką gwarancję młodym osobom, które nie w publicznych zakładach ale w domach prywatnych nauczycielstwu się oddają, lub oddawać zamysłają.

Rozumie się, że oprócz młodszych słuchaczek, także osoby zameżne i starsze na wykłady uczęszczać mogą, i jak kilkakrotnie praktyka już stwierdziła, zawsze kilka przynajmniej znajdzie ich się między audytorium muzealnym, nie tylko na niestałych wykładach, które jak wiemy i dla szerszej publiczności są przeznaczone, ale również i na stałych.

Jedynym widocznym dotychczas dowodem, jakie korzyści mogły przynieść słuchaczkom wykłady mianowicie na dwóch wydziałach: przyrodniczym i historyczno-literackim, są egzamina przez nie na końcu kursu zdawane, a które jak już wspominałem, po największej części zaszczytnie dla nich wypadły. Z drugiej strony niema najmniejszej przyczyny wątpić, że również i u tych słuchaczek, które tej formalności się nie poddawały, obszar wiadomości potrzebnych i pożytecznych się powiększył i więcej światła ich umysłowi przybyło.

Na wydziale sztuk pięknych owoce pracy tak nauczycieli jak i uczennic są niemniej pocieszające i widoczne. O rezultatach, jakie w ciągu niedługiego swego istnienia, wydała szkoła drzeworytnictwa, mówiłem już wyżej, tutaj dodam jeszcze, że również i szkoła rysunków znakomitem może się poszczycić postępnem, skoro otrzymała na wystawie powszechnej w Wiedniu w r. z. medal za rysunki swoich uczennic.

Rezultaty dotychczas osiągnięte, i to pomimo tylu przeciwności i przeszkód, z którymi ten zakład walczyć musiał i musi jeszcze po dziś dzień, są bezwątpienia najlepszym dla niego świadectwem i wy-

starzyć powinny za wszystkie zachęty, bo popiera niu jego egzystencji i dalszego rozwoju.

ZARYSY AZYI ŚRODKOWEJ

(Przez N. Karazina).

(Dalszy ciąg).

W mieszkaniu Ablaja-bija zebrał się już dosyć znaczny tłum ludzi. Zwierzchnie wojłoki były szeroko rozpostarte i w szalasię panowało silne światło, a to tem bardziej że całe wnętrze było wybite jasno, białemi wojłokami. Tutaj równie i w mieszkaniu Alajara cała podłoga była wysłana dywanami tylko droższymi i piękniejszymi; cylindrowe jedwabne poduszki, leżały około ścian, na jasno czerwonych kratkach rozwieszono mnóstwo dosyć pięknej krajowej broni, szczególnie zaś szabel. Śniawy dym wychodzący z kaliury wił się po powietrzu.

Zastaliśmy w szalasię również kilka kobiet; zajmowały się one gospodarstwem, zgromadzone były głównie około ogniska rozłożonego w samym środku szalasię.

Po ukończeniu ceremonii zachowywanych przy powitaniu gości, jakoto: wymiana grzeczności wyrażanych obustronnie przez uściśnienie rąk, lekkie przyciśnięcie do serca, poprosiłem gospodarza ażeby wskazał mi i udzielił oddzielne pomieszczenie, oświadczając, iż zamyslałem przepędzić u niego dwa lub trzy dni, a niechciałbym niepokoić tak dostojnego starca. Ablaj-bij z początku prosił, ażebym rozgościł się w jego szalasię, wkrótce jednak wydał dyspozycje zgodne w zupełności z moim życzeniem.

W pół godziny potem zasiedliśmy do obiadu, przy którym zaznajomiłem się z pozostałymi członkami rodziny mojego gospodarza.

Ablaj-bij, jest to sędziwy starzec, liczący już lat 98, lecz wygląda tak świeżo i dzielnie, że gdyby poczercił swoją siwą brodę, nikt by mu nie przypisał więcej nad połowę rzeczywistego wieku. W czasie moich odwiedzin miał tylko dwie żony, z których jedna sędziwa matrona lat 80 wieku licząca, była istotną gospodynią domu, druga zaś piękna o rumianych policzkach kobieta zaledwie dwudziestoletnia, od roku dopiero piastowała godność żony sędziwego starca. Zresztą w ciągu długiego swego życia Ablaj-bij miał coś około 16 żon, z których jedne u niego jeszcze pomarły, drugie po upływie pewnego przeciągu czasu otrzymały zupełną swobodę i powychodziły za innych krajowców, co w tych stronach jest faktem bardzo pospolitym. Jedna zaś z nich została zabitą przez samego Ablaję za zdradzenie wiary małżeńskiej. Dzieci Ablaj miał mnóstwo, większość stanowili synowie; starzec powiadał, że Ablach widocznie jest dla niego łaskawym i nie karze go obdarzając córkami. W czasie obiadu siedziało razem z nami jedenastu synów Bija, z których najmłodszy liczył lat 28 wieku, prócz tego w niewielkiej upstrzonej różnemi malowidłami skrzynce, co służyła za kołyskę, leżał jeszcze jeden sukcesor zrodzony z owej młodej żony i wykrzykiwał donośnie. Zresztą któż wiedzieć może, że to był ostatni już następca Ablaję-bija?

Ponieważ towarzystwo, które się zebrało do obiadu, było dość licznem, to okazało się, że niepodobna będzie się ograniczyć jedną wspólną misą i dla wygody obecnych potrawy rozdawane były w kilku płaskich naczyniach mniejszych rozmiarów. Do tych to dymiących i napelnionych tłustem aromatycznym mięsem naczyni wyciągały się i zanurzały w nich, pary, zazwyczaj nie więcej jak trzy, muskularnych rąk z palcami czerniałemi od ciągłego trzymania w nich krzemienych ugli.

Jadłem wspólnie z gospodarzem, który zupełnie nie zaambarasował się, dostrzegłszy, że wydobyłem łyżkę i składany nóż z widelcem. Znał już ten sposób jedzenia i widocznie starał się nie zapuszczać palców w tę stronę misy, która znajdowała się do mojego rozporządzenia. Od czasu do czasu rzucał

w moją stronę bardziej apetyczne kaski nader mile przytem uśmiechając się.

Obiad, albo dokładniej mówiąc kolacya, dla tego że słońce już zachodziło, gdyśmy siedli do jedzenia, składała się głównie z baraniny. Jedna tylko potrawa przypominała małosyjskie kluski; w mącznej białawej cieczy pływały kulki z ciasta i roznosiły po całym szalasiu zapach wystającego kłajstru. Nie mogłem się odważyć na spróbowanie tej potrawy. Zresztą w czasach późniejszych niejednokrotnie wypadło mi karmić się tem jedzeniem—z braku innego rozumie się, podczas dalszych wędrówek moich po Azji Środkowej.

Po obiedzie kobiety przyniosły nam do picia kumys w wielkich glinianych garnkach opłatanych dla nadania im trwałości sitowiem, ponieważ napój ten w czasie fermentacji niejednokrotnie rozrywa naczynie na podobieństwo wina szampańskiego. Nie niema przyjemniejszego jak po ciężkich tłustych potrawach odświeżenie się tym napojem. Trzeba przyznać do kumysu, ażeby dokładnie ocenić jego zalety; Kirgizi piją go w ilości zastraszającej. Żaden kupiec Moskiewski przez całą dobę nie wypije tyle herbaty, ile zmęczony koczownik Kirgiz wyciągnie kumysu na jeden raz, nie odejmując od brzegów naczynia, ani na chwilę swoich spragnionych, zatłuszczonych ust.

Wyszliśmy z dusznego szalasu na świeże powietrze. Rozłożono na ziemi wojłoki i wygodnieśmy się rozsiedli w pobliżu rozpalonych ognisk. Tutaj także podano nam kaliury.

Cały aul oddychał zgiełkowym ożywionem życiem. Na uboczu dojono kłacze, które stały spokojnie i spoglądały na plac, gdzie cisnęły się żrebaki, w oczekiwaniu swojej kolei pokarmu.

Z lewej strony zbliżał się do nas wielki tabun koni; widocznie Ablaj-bij chciał pochwalić się przedemną największym swoim bogactwem, stadem pięknymi rumaków. Głuchy odgłos powstały z uderzeń o ziemię tysiąca kopyt ciągle się zwiększał w miarę zbliżania się do nas. Rżenie różnorodnie przepelniało powietrze. Dozorce stada Kirgizi na pół nadzy, w skórach baranich na plecach krzyżeli i dzwicznie uderzali po ziemi długimi biczami. Na przodzie całego tabunu, znacznie oddzieliwszy się od stada biegł niewielkiego wzrostu zgrabny ogierek złotobułanej maści kształtem swoim wiele przypominający koniki szkockie. Rumak ten głównie, zwrócił na siebie moją uwagę gęstą, czarną, jak smoła grzywą i czarnym także, niesłychanie długim, sięgającym prawie do ziemi ogonem, co stanowiło dziwnie piękny kontrast ze złotą sierścią całego ciała. Na dole grzbietu ciągnął się wązki czarny pas, nogi poniżej kolan także były zupełnie czarne. Koni ten szedł swobodnie krokiem pewnym i silnym nastrzępiwszy uszy i od czasu do czasu głośno rżał, wciągając nozdrzami dym z palących się ognisk. Nie mogłem się powstrzymać i głośno pochwaliłem piękne zwierzę; Ablaj-bij zauważył to, znacząco odehrząknął i poważnie wyrzekł, jakby sam do siebie:

— Tak, to jest w samej rzeczy bardzo piękny koń.

Przed oczami moimi skacząc i wyseigając się nawzajem, to zbitemi massami, to pojedynczo przebiegało tysiące koni siwych, gniadych, karych, kasztanowatych, najrozmaitszych odcieni i wzrostu. Czarni dozorce stada dopuszczali się z końmi różnych pięknych wybryków, chcąc donieść swojej gorliwości panu i władcy i długo jeszcze potem dźwięczał mi w uszach zmieszany łoskot bardzo podobny, wedle mojego zdania, do tego który wstrząsnął powietrzem u podnóża Araratu, kiedy Noe wypuścił na wolność z arki wszystko co w niej żyło i w czasie potopu przebywało.

Po godzinie zupełnie się upokoiło. Pogodne nie-

bo zasiane było gwiazdami. Na noc nastał lekki przymrozek. Księżyc powoli płynął w obłokach. Wszystkie dźwięki zaczęły się zlewać i łączyć ze sobą. Sen zapanowywał już nad zmęczonym słuchem i po chwili spałem jak zabity, zwinąwszy się w kłębek pod kołdrą na spokojnem, złożonem z wojłoków łożu poduszkę z siodła podłożywszy pod głowę.

Jeszcze się nie zupełnie rozwidniło, gdy do szalasu Ablaj-bija zaczęli się zjeżdżać goście. W pół godziny zaledwie zebrało się około 30 ludzi, wszyscy byli uzbrojeni w długie piki i u każdego wisiał na siodle arkan zwinięty w pierścień. Jeden tylko z nich miał broń palną, lecz takiej śmiesznej i oryginalnej budowy, że zapewne użyć by jej nie chciał żaden z cywilizowanych strzelców.

Osiodłany koń Ablaj-bija, stał przed szalasem; był to baczysty niski stępek jakiejś nieokreślonej maści. Zwierzę to jak mnie mówiono, odznaczało się nadzwyczajnie szybkim biegiem, rozumie się po równej drodze i tak cichym, że wedle słów samego gospodarza można było w pełnym galopie trzymać w rękę płaskie naczynie napełnione wodą i nie rozlać ani kropelki.

Bajtak przyprowadził z kądzi i nasze konie opatrzone samemi tylko siodłami bez wszelkich ciężarów podróży, dla tego żeśmy odbyć zamierzali krótką i lekką wycieczkę.

Gospodarz nie dał nam długo czekać na siebie i cały błyszczący w jasno-czerwonym szlafroku, podbitym lisiem futrem w ostrokańczastej czapece ze złotym nagłówkiem, bez wszelkiej broni prócz nieodstępującego go nigdy noża za pasem i splecionej z rzemienia nahajki, zajął wkrótce swoje miejsce na czele całej karawany. Spokojnie i pięknie siedział na wysokim siodle i przywitawszy się ze mną z ożywieniem niezwykle objaśniał mi cel i sposób wykonania wycieczki. Miało to być polowanie urządzone wyłącznie dla uczczenia mojego przybycia w te strony.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Księgarnia MICHAŁA GLÜCKSBERGA
W WARSZAWIE

otrzymała następujące

NOWOŚCI POLSKIE:

Schorlemmer. Wykład chemii organicznej, czyli chemii związków węgla.—Rs. 3.

Flammarion K. Opowiadania o nieskończoności przekład Henryka Kuczańskiego. Lumen, historia komety w nieskończoności. Rs. 1 kop. 50.

Przy studni. Studium dramatyczne. Kop. 70.

Jeża Teodora. Ofiary, powieść, 2 tomy. Rs. 1 k. 80.

Jerzykowski St. Dr. Popularny wykład o budowie, pożywieniu i pielęgnowaniu ciała ludzkiego (z 20-ma drzeworytami w tekście). Rs. 1 kop. 50.

Droz Fustaw. Babelain, powieść z francuz. Rs. 1.

Boniecki Michał. Szkice historyczne, Książęta Szląscy z domu Piastów, przyczynek do historii rodzin panujących w Polsce, zebranych i ułożonych przeważnie z niemieckich źródeł, część I-sza zawiera okres od 1146 do 1339 r. Rs. 1.

Thirifog'a A. Zupełny kurs nauki kroju sukien i okryć damskich, oraz wszelkiej bielizny męskiej, damskiej i dziecinnej. Kop. 45.

Łazarewicz Dr. Słownik do Homera Iliady. Rs. 2 kop. 40.

Czarnowskiego A. Rocznik literacki z 1873 roku. Kop. 75.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową redakcją i na tych samych warunkach.

Prenumerata w Warszawie wynosi: rocznie Rs. 7 kop. 20, półrocznie Rs. 3 kop. 60, kwartalnie Rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Na prowincyi: w Królestwie i Cesarstwie w Urzędach i Ekspedycjach pocztowych: rocznie Rs. 10 ¹⁾, półrocznie Rs. 5 ²⁾, kwartalnie Rs. 2 kop. 50 ³⁾.

Od 1 Lipca wychodzą przy *Bluszczu* prócz zwykłego Dodatku obejmującego Wzory ubiorów i robót: **Mody kolorowane**.

Prenumerata wydania z dotychczasowemi Dodatkami i *Modami kolorowanemi* wynosi w Warszawie: miesięcznie Rs. 1; kwartalnie Rs. 3; półrocznie Rs. 6; rocznie Rs. 12.

Na prowincyi: kwartalnie Rs. 4; półrocznie Rs. 8; Rocznie 16.

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do redakcyi nadsyłać pieniądze wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratów z Cesarstwa upraszamy również, by żądania swoje raczyli, adresować nie do Ekspedycyi Gazet, lecz do redakcyi Bluszczu w Warszawie Nr. 411.

Wczesne wyprawienie piérwszych, regularne dosyłanie dalszych numerów *Bluszczu*, zależy głównie od zastosowania się, pod względem przesłania prenumeraty do powyższego ogłoszenia.

Michał Glücksberg, Wydawca.

¹⁾ Licząc w to za pismo Rs. 7 kop. 20, opłata pocztie za przesyłkę Rs. 1 kop. 20, za przepaskę i ekspedycję Rs. 1 kop. 30,

²⁾ Za pismo Rs. 3 kop. 60, opłata pocztie kop. 60, za ekspedycję kop. 80. ³⁾ Za pismo Rs. 1 kop. 80, opłata pocztie kop. 06, za ekspedycję kop. 40.

TREŚĆ: **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcieckiego. — **Sonet**, (poezya), przez On-ka. — **Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Kolonista w Irlandyi**, dramat, (dalszy ciąg) przez Pawła Heise. — **Wyższe zakłady naukowe dla kobiet**, Dra Baranieckiego. — **Zarysy Azji środkowej**, (dalszy ciąg), przez N. Karazina.